

i odkrywcz. Ilu jednak badaczy filozofii średniowiecznej zna również dobrze współczesną logikę i matematykę? Na pewno nieliczni. Autor nasz nie porównuje średniowiecznych pomysłów z kosmologią współczesną, bo ta jest czymś zupełnie nowym i byłby to typowy anachronizm, na jaki nigdy sobie nie pozwolił tak wytrawny badacz.

Trzeba przyznać, że książka jest dość trudna w pierwszej części dla mniej znajomego fizykę i kosmologię czytelnika. Jest to jednak część nieodzowna w podejściu do takiej tematyki i wprowadza perspektywę naukową, o którą tutaj chodzi. Później robi się łatwiej i trud włożony w czytanie pierwszej części przynosi jeszcze więcej owoców. Dlatego należy zachęcić wystraszonych nieco czytelników, aby nawet z pewnym trudem przebili się przez pierwszą część i dzięki temu odnieśli jeszcze więcej korzyści z lektury. Może się bowiem zdarzyć, że ktoś zainteresowany sprawą, ale zniechęcony trudnościami pierwszej części będzie miał ochotę odłożyć książkę. Po to właśnie pisze się recenzje, żeby przed takimi pomyłkami uchronić.

Książka jest napisana prostym, a jednocześnie kompetentnym językiem, który pozwala w najbardziej przyjazny dla czytelnika sposób wnikać w niełatwe zagadnienia. Autor nie jest tylko sprawozdawcą, ale ujawnia również swoje własne poglądy. Dotyczą one jednak nie jakiejś

ogólnej teorii, wizji, ale raczej szczegółowych kwestii, w których liczy się argument, pomysł, umiejętność znalezienia analogii, a nie jakaś teoria, do której wszystko się naciąga. Takie podejście jest na pewno bliższe rzetelności naukowo-filozoficznej i bez wątplenia najciekawsze dla czytelników o bardziej analitycznym umyśle. Ci natomiast o umyśle bardziej syntetycznym mogą ewentualnie wybrać sobie któryś z prezentowanych poglądów i uznać go za najlepsze wyjaśnienie Wszechświata. Jednak pożyteczniejsze intelektualnie będzie pozostanie przy idei zawartej w tytule książki, mówiącej nie o jednej, ale o wielu próbach ostatecznego wyjaśnienia Wszechświata.

Zbigniew Wolak

**LISTY MŁODEGO MYŚLICIELA,  
KTÓRY WYRÓSŁ NA STAREGO  
FILOZOFA**

◇ Józef Bocheński OP, *Listy do ojca*, oprac. J. Kozak, K. Policki SDS, Wydawnictwo SALWATOR, Kraków 2007, ss. 462.

*Listy do ojca* to zbiór korespondencji wybitnego myśliciela, który lubił opowiadać o sobie, swoim życiu i o tym, jak rodziły się jego idee i myśli. W prezentowanej tutaj książce opowieści te nabierają dodatkowych barw. Młody Bocheński pi-

sał z Rzymu, czasami codziennie, listy do swojego chorego ojca (ostatni list został wysłany miesiąc przed jego śmiercią). Listy Bocheńskiego z pewnością mają swoją specyfikę związaną najpierw z samą postacią autora, który kochał naukę, niezależne sądy i uczciwość w myśleniu i postępowaniu. Następnie listy były pisane do ojca, z którym młodego dominikanina łączyły nie tylko więzy krwi i synowskie uczucia (o których kilkakrotnie pisze, że nie potrafi ich należycie wyrazić) ale również silne powinowactwo intelektualne. Można by jeszcze do przyczyn owej specyfiki dorzucić sytuację w Rzymie i w Europie niemal w przededniu II wojny światowej.

Trudno streszczać listy, mówiące o przeróżnych sprawach, a z kolei wydanie ogólnej opinii też niewiele pomaga w uchwyceniu tego, co w książce pociąga czytelników. Stanisław Lem stwierdził, że jest to, „ze wszech miar godna ukazania się książka”. Zachęcenie tymi słowami redaktorzy zdecydowali się na jej opublikowanie „pomimo pewnych kontrowersji”. Nie nazwali tych kontrowersji, ale sądzą, że chodzi o pewne stwierdzenia Bocheńskiego dotyczące różnych bliźnich. Objawia się przy tym jego nieco złośliwe poczucie humoru całkiem dobrego chowu. Jeśli ktoś się skupi na wyszukiwaniu tych kontrowersji, na pewno je znajdzie, ale w kontekście całej korespondencji złośliwości te okazują

się pełne wyrozumiałości, a przynajmniej miłosierdzia. Czasami brzmią po prostu krotkocześnie, jak na przykład ta: „Po Chmajcu długi dyskurs trzymał Grabowski, który dużo mi zarzucał rzeczy, ale na ogół Straszewskiego bardzo chwalił. Zwłaszcza nie podobało mu się, że niejakiego Zimmermanna nazwałem filozofem trzeciej klasy — bo to był jego profesor i że Straszewskiego zatytułowałem pozytywistą. Ci dwaj mówili do rzeczy — bo Rubczyński dziwnie głądził. Pitekantropus [Gielecki — Z.W.] powtarzał zarzut o pozytywizmie, a najzabawniejszą była megiera, która oświadczyła, że „z obowiązku” jako uczennica Straszewskiego musi powiedzieć parę słów, oczywiście bez sensu, ku złośliwej radości docentów i żydków” (s. 13–14).

Ta mała próbka stylu epistolarnego między synem i ojcem zapewne pomoże odczuć atmosferę tych listów i zachęci do lektury całości, pisanej nieraz z przymrużeniem oka, a zawsze z otwartą głową. W listach tych jest wszystko, czym żył młody dominikanin. Interesował się żywo chorobą ojca i sprawami domowymi, ale z domu listy dochodziły dość rzadko, więc nieraz próbował, jak pisze, dokonywać analizy na tych skąpych wiadomościach, żeby znaleźć w nich jak najwięcej informacji, ale niewiele to dawało. W rzeczywistości reagował na wszystko, co do niego dochodziło z domu,

choć wielokrotnie stwierdzał, że podstawą jego korespondencji jest egocentryzm, czyli pisanie o własnych sprawach, o tym, co było w jego sercu, a przede wszystkim w głowie, bo był to u niego już wtedy organ najobficiej używany.

Bocheński, będąc w Rzymie, był zaangażowany w życie towarzyskie, co w jego sytuacji oznaczało życie dyplomatyczne i polityczne, a pod to pojęcie należy też podciągnąć politykę kościelną. Okres, w którym powstawały opublikowane listy, był bardzo ważny dla Europy, mocno przeczowano wtedy nadchodzącą wojnę, a różnego rodzaju konfiguracje polityczne budziły to nadzieję, to strach. Bezpośrednie kontakty Bocheńskiego z wielu dyplomatami dawały mu dobrą orientację w nastrojach, jakie panowały w kołach dyplomatycznych i pozwoliły czynić różne przewidywania odnośnie najbliższej przyszłości Polski, ale też często przy tego rodzaju przewidywaniach ich autor zastrzegał się, że są jedynie prawdopodobne. Nie pociągała go zbyt mocno polityka, ale też umiał zachować trzeźwy osąd i postawę prawdziwie patriotyczną. Przejawem tej postawy było napisanie „*De virtute militari*”, czyli podręcznika etyki wojskowej. Mimo poważnych problemów z publikacją tego dzieła, ukazało się ono i do dziś jest chyba jedynym opracowaniem tego rodzaju. „*De virtute militari*” jest oczywiście znane w Polsce,

ale lektura listów Bocheńskiego pozwala lepiej uświadomić sobie kontekst, do którego należy przywiązanie do domu rodzinnego i do ojczyzny, świadomość polityczna, zamiłowanie do historii i wreszcie tak głęboko przez Bocheńskiego przeżywana trafność i głębia filozofii, a zwłaszcza etyki Tomaszowej.

Najważniejszym wątkiem listów jest oczywiście naukowa ścieżka młodego uczonego. Godziny spędzone w bibliotece, rozważanie argumentów, przygotowanie wykładów wprowadza nas w świat pracy naukowej. Lektura tych listów przypomina o tym, że właściwie pojmowana i wykonywana praca naukowa jest piękną, ale i nadzwyczaj mozolną drogą osobistego rozwoju i służby społecznej. Bocheński w tych czasach był tomiś, ale trzeba to właściwie rozumieć, ponieważ przede wszystkim był on od samego początku metodologiem. Dlatego pociągała go logika i jej zastosowania. U Tomaszka odnajdywał tę subtelność logiczną, atrakcyjną dla siebie we wszelkim filozofowaniu. Pisał na przykład Bocheński o Tomaszku: „Mam teraz właśnie głowę pełną metody teologicznej — bo teza jest o definicji i chcę rozgryźć świętego Tomaszka na tym punkcie: jak on robił definicje. Dosyć jestem z tego zadowolony. Tomasz jest zimnym arystotelikiem, wyprowadza aksjomaty i tezy jak wirtuoz logiki, choć niezmiernie prostymi słowami i bardzo zwięźle” (s. 29).

Ekumeniczność postawy Bocheńskiego byłaby dziś uznawana za mocno podejrzaną, bo na przykład zupełnie nie ceni sobie teologii prawosławnej z racji braku jakiegokolwiek porządnej metodologii. Dziś metodologia kojarzy się głównie z naukami przyrodniczymi i ewentualnie formalnymi, zwłaszcza z tego względu, że w ostatnich czasach właśnie w tych naukach dokonały się najpoważniejsze odkrycia i zmiany w podejściu do badania naukowego. Badania nad podstawami matematyki doprowadziły do powstania logiki matematycznej, a rewolucja kwantowo-relatywistyczna z jednej strony i zapoczątkowane ideami Koła Wiedeńskiego koncepcje rozwoju nauki z drugiej, doprowadziły do powstania całego nurtu zainteresowanego prawami historycznego rozwoju nauki i ewolucji naukowych metod. Bocheński, zwłaszcza w późniejszych latach, starał się poznać bliżej metodologię nauk przyrodniczych, ale trzeba jednak pamiętać, że był on przede wszystkim zainteresowany metodologią filozofii i teologii, co wyraźnie widać w jego listach.

Tej postawie pozostał w zasadzie wierny do końca, w teologii pozostał wierny tomizmowi, tak że niektórzy jego uczniowie nazywali go w teologii „betonowym tomistą”, natomiast w filozofii odszedł od tomizmu w tych fragmentach, w których rozwój wiedzy o świecie, czyli o ważnej części rzeczywistości po-

szedł do przodu. Poszedł w kierunku filozofii analitycznej, która nie tylko pozwala, ale zachęca do jak najbardziej rozwiniętej logiki (sam Bocheński rozbudował pewne fragmenty logiki dla potrzeb filozofii i teologii), czym w istocie kontynuował postawę św. Tomasza. Zresztą do końca życia co jakiś czas podejmował się formalnego opracowania pewnych fragmentów myśli tego filozofa i teologa.

Ta postawa Bocheńskiego jest charakterystyczna dla całej jego twórczości, chciał być „zimnym arystoteliem”, co w filozofii, a częściowo także w teologii, może dać doskonałe efekty. Z kolei, jak wiadomo, nauki empiryczne rozwinęły się dzięki odejściu od metodologii arystotelesowskiej w kierunku postawy archimedejskiej, czyli matematycznego opisu doświadczeń. W związku z tym powrót do arystotelesowskiego raję metodologicznego staje się prawie niemożliwy, metodologia nauk ciągle się rozwija i filozofowanie w kontekście nauki jest nierzadko wyjściem poza dotychczasowe kanony uprawiania filozofii. W filozofii klasycznej najpierwotniejsza była metafizyka i jej metodologia, inne nauki i inne metodologie były pochodne. Dziś staje się inaczej, nauki empirycznie dają wiedzę o świecie istotnie nową i nieredukowalną do metafizyki. Metafizyka lub raczej metafizyki są owszem założeniami teorii naukowych, ale pełnią rolę warunków koniecznych, ale nie wystar-

czających. Bocheński miał tego świadomość, gdy twierdził, że dziś nie jest możliwe uprawianie metafizyki w sensie maksymalistycznym, czyli w postaci pełnych systemów. Zbyt rozległa jest bowiem wiedza zawarta w naukach przyrodniczych stanowiących ową „fizykę”, która powinna być punktem wyjścia dla metafizyki.

Lektura listów może skłonić do stwierdzenia (popartego autobiografią), że Bocheński nie dlatego był wierny Tomaszowi, że był dominikaninem, ale dlatego został dominikaninem, żeby mieć swobodę porządnego myślenia. Wprawdzie narzekał nieraz na pewne ograniczenia także ze strony władz kościelnych i zakonnych, ale generalnie uważał, że zakon dał mu swobodę pracy, możliwości korzystania z najlepiej wyposażonych bibliotek dobrych uczelni i wreszcie dopilnował, żeby nie marnował czasu. To bez wątplenia pouczające, że uczonej takiej miary tak sobie cenił z jednej strony swobodę myśli, a z drugiej reżim narzucony nie tylko samemu sobie, ale także przez instytucję. Dla katolickiego czytelnika ciekawym i ważnym aspektem życia i listów Bocheńskiego jest jego nadzwyczaj mocne przywiązanie do liturgii. Wraca do niej wiele razy, przeżycia religijne łączy głównie z jej sprawowaniem (obok oczywiście studiowania teologii). Pisz: „Wstępując do zakonu, składałem ofiarę z dwóch rzeczy, zwłaszcza z liturgii i z nauki. [...] Pan Bóg od razu oddał mi

obie rzeczy” (s. 46). Dla niego liturgia z bogatą i głęboko przeżywaną symboliką była jakby rodzajem semantyki, wysiłku zgłębiania znaczenia znaków danych Kościołowi dla wyrażenia tajemnicy Boga. Zachwycał się liturgią dominikańską i benedyktyńską, znał na pamięć długie psalmy, uważał, że wiele nabożeństw ludowych w rodzaju gorzkich żali powstało dlatego, gdyż ludzie nie poznali prawdziwej liturgii. Warto o tym pamiętać, gdy próbuje się doszukiwać u Bocheńskiego jakichś teologicznych ekstrawagancji. W rzeczywistości szukał on w teologii raczej nowych środków wyrazu dla prawd znanych i przez Tradycję uświęconych, a przez „tradycję”, czyli pomysły mniej wyrobionych liturgicznie wiernych, nieraz trochę przekreślonych.

Poprzestaną na tych kilku uwagach i cytatach, niektóre z nich to może „perełki” epistolografii i w ogóle stylu Bocheńskiego, ale zapewniam, że w listach jest ich bez porównania więcej. Książkę czyta się jak powieść, a korzyści dorównują czytaniu dobrej rozprawy naukowej. Jednocześnie jest to wprowadzenie w naukowy świat filozofii i trochę teologii, świat, który ma swoje prawa i swoją urodę i warto poznać jedno i drugie. Może ktoś da się wciągnąć w ten świat, albo ktoś już obecny w nim poszerzy swoje horyzonty.

*Zbigniew Wolak*